



Z. Petry i H. Dunajska.

Fot.: Z. Januszewski

HEDDA GABLER

IV Telewizyjny Festiwal Teatrów Dramatycznych. H. Ibsen: „Hedda Gabler”. Przekład — J. Gebulowicz. Reżyser — M. Wiercińska. Scenografia — W. Sześciński. Reżyser tv — E. Paśłowska. Premiera tv 21 VIII 1967 r.

„Hedda Gabler” ma szczęście do Teatru Telewizji. Oglądaliśmy ją obecnie po raz drugi, przed pięciu laty reżyserował ją A. Hanuszkiewicz z Z. Rysiówną w roli tytułowej. Pisałem wówczas: „Świetny spektakl. Jeden z najlepszych, jakie widziałem w Teatrze Telewizji”. Dziś mógłbym to powtórzyć, choć „Hedda”, którą nam pokazała M. Wiercińska, wyraźnie różniła się od tej poprzedniej.

Oba spektakle zachowując pełny szacunek dla klasyka Ibsena zmierzają do jego uwspółcześnienia, w obu też wypadkach reżyserzy dokonali pewnych skrótów, starannie oczyszczając tekst ze zdań, a nawet poszczególnych słów, które dla dzisiejszego słuchacza zbytnio trąciłyby myśzką. Dzięki tym zabiegom dramata Ibsena zarówno w ręku Hanuszkiewicza jak i Wiercińskiej wyskał na zwartości i tempie. Różnica między obu przedstawieniami — jak mi się wydaje — polega raczej na innej koncepcji postaci tytułowej. W pierwszym wypadku Z. Rysiówna odtworzyła Heddę jako chłodną „femme fatale”, z gatunku dziewiętnastowiecznych kobiet-zagadek, których motywów postępowania dociec nie potrafimy, a które wokół siebie, sieją niepokój i skazują swoich bliskich na nieszczęście. Pisałem wówczas, że „Z. Rysiówna grała znakomicie, choć osobiście mam inny ideał Heddy, bardziej czulej, kobiecej, ponętnej, uwodzicielskiej”. Znacznie bliższa tej mojej koncepcji Heddy była właśnie Z. Petry, kierowana wytrawną ręką M. Wiercińskiej.

Ta znakomita reżyserka, choć kiedyś przed wojną nawet Witkacym się parała, od wielu lat odnosi szczególne sukcesy w dramatach realistycznych, zwłaszcza właśnie Ibsenowskich. Przypomnijmy, że jej dziełem była znakomita „Nora” w warszawskim Teatrze Kameralnym z E. Barszczewską w roli tytułowej. M. Wiercińska reżyseruje swoje przedsta-

wienia z niezmierną pieczołowitością, dbając o nieskazitelny kształt każdego gestu i słowa. Tę uważną myśl i troskę o najdrobniejszy szczegół mogliśmy właśnie podziwiać w telewizyjnej „Heddzie Gabler”. Spektakl był wzorem jednolitości i czystości stylu, od znakomitej, przemyślanej w każdym szczególe oprawy scenograficznej W. Sześcińskiego do gry wszystkich bez wyjątku aktorów.

Rola Heddy jest jedną z największych i najtrudniejszych w całym repertuarze światowym, wiadomo, że grywały ją artystki tej miary, co E. Duse, I. Solska i Ingrid Bergman. Z. Petry, którą po raz pierwszy widzieliśmy w tak wielkiej roli, okazała się godną swych znakomitych poprzedniczek. Obdarzona nieprzeciętną urodą i bardzo kobiecym wdziękiem, dysponuje też świetnym warszatem aktorskim. Jej Hedda nie była jakąś sztuczną, fin de siècle'ową „kobietą fatalną”, tajemniczym wampem pożerającym mężczyzn, ale piękną panną „z dobrego domu”, która chyba z nudy, a może z braku lepszej okazji, wyszła pochopnie za mąż za bardzo przyzwoitego, ale i bardzo przeciętnego mieszczanina, i dopiero poniewczasie zdała sobie sprawę, że do końca życia czeka ją beznadziejna nuda. Strzelanie z pistoletów generała Gablera, pamiętki dawnego, bardziej swobodnego życia, to bardzo niewiele. Nawiazuje więc ostry, ale jeszcze nieobowiązujący flirt z asesorem Brackiem, jedynym w jej otoczeniu mężczyzną o zdecydowanej indywidualności, a równocześnie próbuje swej uwodzicielskiej siły na swym dawnym wielbicielu Löwborgu. Trochę dla zabicia nudy, a trochę dla narzucenia swej woli innym, bo panowanie nad mężem-safandulą, starą ciotką i służącą nie zaspokaja jej ambicji.

Taką właśnie Heddę, niezbyt zagadkową, całkowicie mieszczącą się w granicach naszych życiowych doświadczeń, zagrała Z. Petry, przybliżając Ibsenowską bohaterkę do naszej współczesnej wyobraźni. W tym samym stylu, maksymalnie wyzbytym niezrozumiałych dziwactw i pseudopoetyczności, odtworzył Löwborga S. Jasiukiewicz. Nie był zapoznanym geniuszem, kadentem z innego, tajemniczego świata twórców, ale po prostu człowiekiem o słabej woli z wyraźną skłonnością do kieliszka. Odpoetyczniony Löwborg nie znalazłby może uznania w oczach współczesnych Ibsena, ale logicznie wynikał z całej koncepcji przedstawienia.

B. Pawlik nie miał szczególnie trudnego zadania, postać Tesmana wyraźnie zarysowana przez autora mogła tylko nasuwać pokusę przejaskrawień w kierunku pana Dulskiego, czemu nasz świetny aktor się nie poddał. Jego Tesman był bardzo wiarygodny, odtworzony z dużą wyrazistością. H. Dunajska bardzo ładnie zagrała w miarę dzielną, w miarę naiwną panią Elvsted. A. Leszczyńska była wręcz znakomitą ciotką Julia, a H. Bąk nie zanadto brutalnym i cynicznym uwodzicielem.

Przedstawienie notuję wysoko w pamięci jako jeszcze jedną wartościową pozycję tegorocznego interesującego Festiwalu.

A.O.